

Gazetka warszawska



WITOLDA FILLERA

Z rysownikami teraz nieco kłopotów. Wygląda na to, że nie obrzucili się tylko na nowy tygodnik „Tu i Teraz”, który raczy swoich czytelników wymienionymi pracami Bożeny Jankowskiej, Jana Sawki czy Andrzeja Czeczota (a nawet samego Topora!). Tak, jak gdyby, nigdy nie. Wydaje się atoli, że jest to po prostu słabość grafików rozrywkowych wobec nestora gatunku, Eryka Lipińskiego, którego Koźniewski sobie do redakcyjnego kolegium przybrał, a kustosz Muzeum Karykatury odplaca mu się tym syrenim przywabieniem swoich młodszyczk kolegów. Gdzie indziej nie ma kto ich wabić. Albo, ściślej — nie ma za co ich wabić. Stąd artyści pracują dla wydawnictw, realizują plakaty i postery reklamowe, ale dla prasy pracować nie chcą. Przynajmniej nie wszyscy. Nie wszyscy chcą też wystawiać...

W Galerii „Szpilek” wystawia przecież Zbigniew Lengren. Właściwie gościnny winien by mu użyć redaktor Czuma, w dowód wdzięcz-

Rysownicy, aktorzy i ludzie

ności za tyluletnią aktywność profesora Filutka. Sądzą przecież, że i do galerii „Przekroja” ta wystawa dotrze, dziś cieszy bywalców z Warszawskiego Placu Trzech Krzyży. A cieszy prawdziwie, gdyż Lengren posiadał rzadki dar wyzwalania w ludziach uśmiechu. Umie przesycić nim sylwetki. Te ostatnie rysuje z mistrzowską finezyjnością. Równy w tym Kryłowowi. Te jego misie, psy, żyrafy i wieloryby, mają ludzkie charakter, słabości i skryte marzenia. Są przy tym piekielnie zabawne i sympatyczne. Ludzie z rysunków Lengrena są tacy sami. Zwyczajni, więc właściwie niemodni. Moda rysunkowa z lat ostatnich, narzuciła nam przesvědzenie, iż ludzie muszą być palubiasci i workowaci, że muszą być brzydacy. Takimi widział ich Mleczko, Czeczot, Krauze. Nawet Edward Łączyn

powiększa swoim dzieciom wodogłowie, modeluje pękate brzuszyska i sękatę ramionka. Lengren inaczej. Nie, iżby ludzi idealizował. U niego też bywają brzuchacze, laskonogie i pupiasci.

Lubi sam Lengren o sobie mówić, że rysuje niemodnie. I z przekorą dodaje, iż taki sam niemodny styl obowiązuje w „Punchu” i „New Yorkerze”. Ze zaś przedruków z tych pism mnóstwo w rodzimych „Kacikach humoru”, stąd na rodzimego Lengrena miejsca tam ostatnio zabrakło. Właściwie tylko „Przekrój” pozostał mu wierny. Dobrze na tym wychodząc.

Zaś klasykę karykatury można za to kontemplować w Galerii Artystów Plastyków przy ulicy Mazowieckiej. Tu zestaw prac zmarłego przed kilkoma laty Adama Perzyka. Z profesji aktor, specjalizował się w portretowaniu kolegów. U-

miął w swoich szkicach zamknąć nie tylko barwę roli, ale i nastrój aktora.

Przymykam oczy i widzę, jak wysoki, chudy Perzyk przysiadł gdzieś w garderobie Teatru Powszechnego: szkicuje Frania Pieczkę, który właśnie zabłysł jako soczysty, ludzki Kreon w „Antygonie” Sofoklesa-Kajzera.

A z zespołu tego teatru ubyla właśnie inna artystka. Świętna, choć kontrowersyjna. Los sprawił, że najbardziej tragiczną rolę przyszło zagrać jej w życiu, u schyłku dni. Lidia Zamkowska. Właściwie umarła już wtedy, kiedy odszedł Leszek Herdegen. Pamiętam, że przyszła do mnie po jego pogrzebie, czy nie potrzebowałbym w mej „Syrenie” jakichś prac literackich, adaptatorskich. Bo „ona reżyserować już nie będzie umiała. Bez Leszka”. Teraz poszła w ślad za nim. Wśród nas pozostała pamięć o jej „Tragedii optymistycznej”, „Makdecie”, „Mutter Courage”. Tragiczna, samotna, niekochana. Biedna Lidka...